ŚWIAT

Nr 35
27. VIII. 1938
CENA 1 ZŁ



w numerze:

W tym numerze kupony ulgowe do Teatrów: Malickiej i »8.15«

Kąpiel morska w nocy — oto ostatnie słowo snobizmu na francuskiej Rivierze



ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI

ROK XXXIII Nr. 35 27. VIII. 1938

L. CHRZANOWSKI.

„W rękach Hitlera"

Do najbystrzejszych najbardziej przewidujących polityków Anglji należy parokrotny minister, wielokrotny krytyk i opozycjonista Winston Churchill. Jego ostrożne branie pod światło decyzji politycznych Trzeciej Rzeszy nacechowane było zawsze bystrością, docenianiem niebezpieczeństw przy jednoczesnym unikaniu paniki. Nie obawia się on optymizmu w stosunku do rozwagi świata, ale nie daje się otumanić pozorami rzekomych krzywd. Gdyby poglądy wypowiadane przez Winstona Churchilla były dawniej więcej brane pod uwagę, być może, dziś Anglja nie musiałaby tak forsownym finiszem dozbrajać się, zakupywać aeroplany i myśleć o stałej służbie wojskowej. Niestety, głos kilkunastu polityków międzynarodowych, ostrzegających o jagnięcej skórze wilka, utonął w chórze sentymentalnych, a łatwowiernych krótkodystansowców międzynarodowego far niente.

W tych dniach Churchill zabrał głos, formułując zdanie iż „przyszłość świata jest w rękach Hitlera". „Nie wiem" — pisze angielski mąż stanu — „czy ostatnie ewolucje wojskowe niemieckie oznaczają ciekawe ćwiczenia i próby, czy mają inny cel". Z tej swojej skromnej niewiedzy Churchill bierze punkt wyjścia przewidywań. Dostrzega bowiem, że wszystkie konie zdolne do pracy, wszystkie ciężarówki i wozy transportowe, są od 15 sierpnia zarekwirowane na użytek artylerji. Dostrzega olbrzymie nagromadzenie środków i sił wojennych nad Renem i na granicach Czechosłowacji i konkluduje, że jeśli optymiści będą mieli rację, jeśli wszystko za kilka, czy kilkanaście tygodni wróci do normalnego życia to tym lepiej. Będziemy się radowali. Kamień nam spadnie z serca.

Ale jeśli optymiści się mylą? Jeśli w tych zarządzeniach kryje się bezpośredni plan polityczny, może nawet wojna, jakąż odpowiedzialnością obarczają się ci politycy, którzy przez inercję lub „ducha wakacji" kraje swe stawiają w o tyle gorszej, bardziej niewygodnej pozycji w stosunku do ewentualnych, pierwszych tygodni konfliktu.

Cóż radzi polityk i mąż stanu Wielkiej Brytanji? „Elementarna przezorność nakazuje — pisze Churchill — „aby kraje sąsiadujące z Niemcami w tym samym czasie zorganizowały w tym samym zakresie podobne manewry, umieszczając swe siły tak, aby państwa ich nie znalazły się w upośledzonej sytuacji".

Churchill jest przezorny. Wysuwa wnioski z wydarzeń i nastawień polityków innych narodów. Patrzy. Obserwuje. Nie boi się nazywać rzeczy po imieniu. W czasie wojny Anglja wiele mu miała do zawdzięczenia. W czasie pokoju stał się „uprzykrzony" przysięgłym pacyfistom i łaskawcom rzucającym Niemcom naręcze rzekomej sprawiedliwości i wyrównanie upokorzenia traktatów pokojowych. Stał się uprzykrzony — bo przeciwstawiał się wygodnemu bezwładowi i gołosłownym zapewnieniom, że jest i będzie dobrze. Był czujny — chciał pracy, działania. Na przymus ubezpieczeniowy narzekają tylko ci, którzy nigdy z pożarem nie mieli do czynienia. Wyśmiewają się oni zazwyczaj z tych co nietylko fanfarami chcą zwalczyć ewentualną pożogę. Niestety, o pożarach politycznych sąsiedzi Niemiec w perspektywie wieków wiedzą coś nie coś. Dla tych więc co potrafią bez paniki doceniać sytuację, „uprzykrzoność" przestróg jest tylko przezornością.

TYDZIEŃ ŚWIATA

Wizyta admirała-regenta

Z niebywałym przepychem, podobnie jak Mussoliniego, ale z oznakami bardziej bezpośredniej i mniej kalkulacyjnej szczerości, przyjmuje Trzecia Rzesza regenta Węgier admirała Horthy'ego. Doświadczony i wybitny marynarz przeżeglował na fregacie gościnności całe dzisiejsze Niemcy. Zaczęto od Wiednia. Od tej dzisiejszej bramy wypadowej Niemiec na Bałkany i na bliski Wschód.

Zaczęto od punktu, na którym skończył były głównodowodzący morskich sił Austrji. Stolicę Wiednia opuścił przed laty admirał Horthy w okresie jej upadku i bezsiły. Odszedł, aby ratować drugą głowę cesarstwa Austrowęgierskiego — Budapeszt. Dziś wrócił do stolicy, gdzie był zaufanym i oddanym doradcą cesarza. Jakże inny musiał mu się wydać ten dawny, znany Wiedeń. Były kwiaty, były mowy, była parada, ale przypominał on już raczej ten Wiedeń, który z troską i przygnębieniem widział koniec cesarstwa, a nie widział przed sobą przyszłości. Dziś przyszłość ta jest jasna: drugie, a może nawet trzecie miasto Rzeszy było miastem próby generalnej uroczystości. A po tym Kilonja, morze, admirała zetknięto z jego żywiołem. Nic dziwnego, że uśmiecha się na wszystkich ilustracjach. Teraz Berlin maximum wspaniałości, przepychu reprezentacyjnego. Znów mowy. Doświadczony marynarz uśmiecha się. Jakże go kochają. Jakże cenią, gdy przyjeżdża on z poza granic murowanego sojuszu. Tyle czułości by nareszcie ten sojusz zacząć murować i aby go módz... pokazać. Wiele trudu, wydatków, entuzjazmu, ograniczeń ponoszą Niemcy, aby nie były izolowane.

Zbrodnia na linji Gdynia-Gdańsk

Ohydna zbrodnia popełniona w pociągu przez kolejarzy gdańskich na osobie polskiego urzędnika kolejowego, Winnickiego, poruszyła całe społeczeństwo. Podczas konfrontacji ofiara zbrodni, poznała swoich oprawców, jednego z nich aresztowano. Postępowanie normalne każdego śledztwa. Oskarżony, to jeszcze nie skazany. Na całym świecie byłoby to uznane za normalne, zwykłe zarządzenie, tylko nie w Gdańsku. Jak echo tej decyzji sędziego w Gdyni, nastąpiło aresztowanie w Gdańsku dwuch kolejarzy polskich. Co to za złośliwe echo? Postanowienie władz a więc czyn świadomy. Czyn bezprawny, bo na interwencję polskiego komisarjatu aresztowanych uwolniono. Byli więc niewinni, żadnego przestępstwa nie popełnili, aresztowani bezprawnie. To jednak tym silniej uwypukla udział władz policyjnych, czy administracyjnych gdańskich *reagujących* na słuszne rozporządzenie polskiego sędziego śledczego, nakazującego areszt mordercy. Czy zbadano kto nakazał aresztować Polaków? Czy zostanie ukarany ten, kto był złośliwym, a przewidującym echem?

Na wybrzeżu polskiem odbyły się wielkie manifestacje. Zarządzono bojkot prasy, reakcje moralne i gospodarcze. Społeczeństwo pomorskie nie może być odosobnione, zdrowy odruch nietylko protestu ale i kary musi przejść przez całą Polskę.

Któryś z polskich wyższych urzędników oświadczył prasie zagranicznej, że nasze stosunki z Gdańskiem są poprawne, układają się coraz lepiej. A no widzimy to. Tu harcerza się bije, tam obija za polską mowę, wreszcie w bestjalski sposób usiłuje się mordować polskich urzędników.

To nie jest fakt oderwany, to symbol i wyrazy tego kompleksu wyższości jaki w stosunku do polskiej ludności okazują nazisy gdańskie, od chwili, gdy poczuli zaplecze polityczne w Berlinie. Lekceważą coraz wyraźniej obywateli *zaplecza ekonomicznego,* czując coraz żywszy kontakt z zapleczem politycznem. Z tych względów reakcja społeczeństwa polskiego jest nietylko słuszna, zrozumiała, ale wskazana. Mordercę skażą, choć będzie on szukał opiekunów i ratowników. To rzecz władzy sądów, ale wyrok opinji, społeczeństwa polskiego musi być wydany bezapelacyjnie i winien być wykonany. Kiedy obcy obywatele poniewierają godność i sądzą, że wolno im bezkarnie pastwić się nad obywatelami innego narodu, jest to nietylko poniżające, świadczy to, że traktują naród poniewieranego, jako słaby i małoznaczący. Siła Niemiec ceni tylko cudzą siłę. Słabość nasza przy podobnych wydarzeniach nie wpłynie dodatnio na... przyjaźń Niemiec. O tej prawdzie winni pamiętać wszyscy tej przyjaźni apostołowie i teoretycy.

Obrady Małej Ententy

W Bled obradowała Mała Ententa. Był najwyższy czas, aby przypomnieć o swej egzystencji. Obrady wykazały, że wbrew pogłoskom, ten obronny wobec Niemiec blok państwa, ma jeszcze swoją spoistość. Zapewne osłabioną. Z tylu stron starano się, aby solidarność rozszczepić.

Dziś wszyscy się cieszą. Rzym widzi osłabienie wpływów Paryża i Londynu.

Londyn zadowolony jest z odprężenia z Węgrami. Niemcy z oznak zaniku wpływów Czechosłowacji.

Węgrzy z uznania praw zbrojenia się. Praga ze skonstatowania, że jeszcze nie rozbito tego, co skonstruowała. Zwolennicy pokoju z istnienia jednej choćby wątłej klapy bezpieczeństwa.

Reorganizacja gabinetu

Premier Daladier zrekonstruował swój rząd. Dwuch radykalnych socjalnych - republikan, ministrowie Frossart i Ramadier odeszli. Dwaj inni socjalni - republikanie: de Monzie i Pomaret wstąpili do gabinetu. Daladier tym czynem wykazał energję i szybkość decyzji. Postanowił położyć kres stosunkom pracy, wskutek których obronność Francji i jej zdolność międzynarodowej konkurencji zmniejszały się stale. Nie chodzi tu o zamach na prawo godzin pracy, chodzi o możliwość intensyfikacji w specjalnych warunkach. Pięciodniowy tydzień, dość rozprzężenia wprowadził w ekonomiczne życie Francji. Ale punktem mającym specjalny posmak jest zmiana ministrów należących do tego samego stronnictwa. Dwaj co odeszli i dwaj co przyszli mają to samo oblicze programowe wobec wyborców. Jakiś zagorzały totalista krzyknie w tem miejscu „gangrena partyjnictwa". Zmiana osób — odpowie kto inny.

Wymowa zmiany osób też coś znaczy. Są reżymy, gdzie właśnie tylko ona stanowi *zaczyn* zmian *zespołu, polityki słowa i czasu* czy też *naprawę jutra pracy* bez jutra.

Tak czasem, gdy w zakładzie przemysłowym jeden mechanik manipuluje butlę z tlenem, tłucze ją i z rąk mu wszystko leci, a inny tejże branży i wyznania manipulator tlen pomnaża i planowo rozprowadza. Zmiana osób, to dziś coraz rzadziej, zmiana programu. Program, to jest dziś rzadkością, nawet we Francji. Dlatego tak chwalą i napadają pisma francuskie premiera Daladier.

POŁÓW PEREŁ



Kultura

Był w Moskwie słynny Sobór Preobrażenski, gdzie wśród wielu grobowców historycznych znajdował się grób legendarnego księcia Igora.

Sobór w ostatnich czasach zamieniony został na... skład ryb.

Temu samemu losowi uległo wiele innych zabytkowych cerkwi. Bezcenne budowle z X i XI wieku przeznaczono na spichrze i składy.

Co oni teraz będą pokazywali cudzoziemcom podczas wycieczek? — to jedno mnie tylko martwi.

Pośmiertne kary

Donoszą z Wiednia, że trumna zamordowanego w roku 1934 kanclerza Dollfussa została przez hitlerowców usunięta z kościoła, w którym dotychczas spoczywała. Podobno zamierza się ją przewieźć do Texing, wsi rodzinnej zamordowanego kanclerza.

Ukarany zesłaniem po śmierci...

Coś mi to dziwnie przypomina...

To nie jest wcale głupie

Możemy czegoś na poczekaniu nauczyć się od naszych sąsiadów, litwinów.

Oto, jak się dowiadujemy z prasy, za więzienie tam się płaci.

— Komu? Przestępcy?

— Nie, proszę państwa — kryminalista płaci *więzieniu,* za dach nad głową, tudzież wikt i opierunek. Opłata jest bardzo wysoka: jak czytamy, wynosi ona 3 lity za dobę, podczas gdy pokoje hotelowe w Kownie kosztują od półtora do 2 litów.

Na co czekamy? Raz przynajmniej weźmy przykład z mniejszego, ale rozsądnego państwa.

Mamy przeludnione więzienia? „Frekwencja" 200% murowana? I ciągle wzrastająca?

Zastosujmy system radykalny nabroiłeś, braciszku — to odsiedź. Ale nie „na darmochę" — bo to za wygodnie, aby cię jeszcze za twoje sprawki uczciwe społeczeństwo, zbóju, miało utrzymywać. Zapłać za więzienie. Jak za pensjonat z komfortem.

Ręczę, że słynna 200% frekwencja naszych więzień spadłaby momentalnie conajmniej dziesięciokrotnie. Dlaczego? Boby się mało komu z naszych kryminalistów opłacał taki pobyt w „pensjonacie" przymusowym.

Nasi zagranicą

Pewien żydek wyemigrował jako dziecko z Drohobycza i przez lat 40 pracował w Londynie, nie opuszczając miasta ani na jeden dzień. Doktór wreszcie zalecił mu odpoczynek: wyjazd nad morze, przynajmniej na parę dni. Żydek pojechał na malutką plażę. Siada na piasku i widzi młodego chłopaka, który niesie dwa kubły pełne morskiej wody.

— Do czego służy ta woda?

— Do kąpieli dla tych, którzy chcą mieć ciepłą wodę morską w domu.

— Aha, a po czemu płacą za kubełek?

— Po sześć pensów.

— No, to zarabiasz szylinga za każdym kursem: wcale przyzwoity zarobek!

— Tak, proszę pana, zwłaszcza że ja jeden w tej miejscowości prowadzę ten interes.

Chłopiec poszedł, a żydek, rozmarzony słońcem i morskim zefirkiem, usnął.

Kiedy się obudził, morza koło siebie nie ujrzał: przedtem było o dwa metry, teraz ledwo je było widać, gdzieś daleko, na horyzoncie.

— Ajaj, cmoknął żydek — to przecież złoty interes: całą tę wodę sprzedał przez te parę godzin!

Sukces

— Jakże tam wczorajsza premjera?

— Trudno to określić: bo po pierwszym akcie biła brawo połowa publiczności, po drugim — druga połowa.

— A po trzecim?

— No, po trzecim to już wogóle nie było nikogo na sali...

Różnice temperamentów

Sympatja, jaką naród szwedzki otacza swego monarchę — graniczy z poufałością. Fotografje króla, jak czytamy w ciekawej korespondencji w „Kurjerze Warszawskim", oglądać można we wszystkich wystawach sklepowych, jako reklamę... pewnego gatunku kawy.

Ale wymowniejszy jeszcze był taki fakt, no, powiedzmy odrazu, wprost oburzający: król dnia pewnego siedział sobie wśród publiczności — (co? jak zwykły śmiertelnik? — a no tak!) na trybunie klubu tennisowego, i przyglądał się grającym.

Mała pięcioletnia dziewczynka wierciła się między rzędami i przebiegła bezceremonjalnie przed krzesłem króla. Pędrak zawadził o długie nogi króla Gustawa, i o mało się nie wywalił.

Ktoś małej zwrócił uwagę, że tu się kręcić nie wolno.

Królowi jednak korona nie spadła z głowy, tylko zapytał pędraka ze śmiechem:

„A wiesz ty kto ja jestem?"

Pędrak nie zawahał się ani chwili:

— O, tak: *wujek jest naszym kochanym królem!*

*

U nas?

A, fe, jakże nawet przypuszczać coś podobnego! U nas o takiej amikoszonerji wobec władz nie może być mowy! Dzieciak ma stać na baczność i wołać niech żyje.

Pan Prezydent Rzeczypospolitej, sam kochający dziadek i dobry człowiek, napewnoby się nawet o poufałość dziecka nie rozgniewał.

Ale tak naprzykład jakiś pan młodszy pomocnik starszego inspektora...

Na samą myśl dostaję gęsiej skóry.

Niedojdy

Kiedy nam się tłumaczy, że nie jeżdżą po polskich drogach samochody, bo jesteśmy za biedni, że nie mamy szkół, bo jesteśmy za biedni, że brak u nas szpitali, bo jesteśmy za biedni — poniekąd (ale tylko poniekąd) — to wszystko możemy zrozumieć.

Ale kiedy czytamy w wydawnictwach statystycznych, że amerykanin przeciętnie zjada rocznie 60 kg. owoców, niemiec 40, a *polak tylko 10* — tego w żaden sposób już zrozumieć nie możemy.

Bo, do licha ciężkiego, krajem podobno jesteśmy rolniczym?

Czy będziemy po wieki wieczne produkować tylko kapuchę i kartofle i temi „wykwintami" żywić nowoczesnego polaka?

Świat jest piękny

Oddajmy się optymizmowi... Gazetki utrzymywane z podatkowych funduszów wypisują nam przecież codzień, że jest dobrze, lepiej, coraz lepiej, wogóle świetnie i fenomenalnie. Jak ten doktór Coué co to leczy pacjentów autosugestją.

Spróbujmy, czemu nie?

Tylko że właśnie czytamy, iż w pierwszem półroczu r. b. *dopuszczono w samej Łodzi do protestu 130 tysięcy weksli,* na sumę *blisko 13 miljonów złotych...*

Byczo jest!

Sakrament — czy heca?

Prasę polską i zagraniczną obiegła w tych dniach taka fotografja: w Nowym Yorku, w Luna Parku, pędzi wagonik t. zw. kolejki górskiej. W wagoniku—(otwartym, więc doskonale widać)—siedzi młodzieniec uśmiechnięty ubrany czarno, na jego ramię skłania wdzięczną główkę młoda dama w stroju ślubnym, z bukietem w ręku, z wieńcem pomarańczowym na głowie. Przed nimi siedzi poważny starszy pan, twarzą do nich zwrócony i coś do nich z uśmiechem przemawia. Za nimi kilka młodych osób płci obojej, roześmianych do szaleństwa, trzymających kapelusze, aby w pędzie nie zleciały.

Podpis:

„Pastor Sharkey, znany z dawania ślubów w miejscach najbardziej ekscentrycznych, udziela ślubu w Luna Parku".

Pastor — czy błazen?

„Nowożeńcy" — czy para idjotów?

To już sobie czytelnik dośpiewa sam.

Narazie, ponieważ „pastor" Sharkey udzielił już na morzu, w wodzie, w powietrzu i innych dziwnych miejscach 527 ślubów— może mu zabraknąć pomysłowości — „gdzieby jeszcze?"

Dopomóżmy mu, biedakowi.

Możnaby naprzykład w barze portowym, przy bufecie, po siedemnastu kolejkach mocnej z kropelkami.

Możnaby w poczekalni domu publicznego, wieczorem przy normalnym ruchu „gości".

Możnaby — czemu nie? — w podziemiach kanałów nowojorskich — albo też, aby było efektowniej, w Rzymie, wewnątrz Cloaca Maxima...

Możnaby, prościej — w pierwszej lepszej hotelowej ubikacji, oznaczonej dyskretnie 00.

Możnaby też w oddziale małp, w ogrodzie zoologicznym.

Tam, zdaje się, „pastor" Sharkey znalazłby się zupełnie w swojem towarzystwie.

„Propagandowe" mecze

Pielęgnujemy sport, — dobrze — niech rosną zdrowe pokolenia. Zawsze lepsze zdrowe cielę w zdrowem ciele, niż, jak bywało dawniej, w chorem.

(Jeszcze może byłaby lepsza według maksymy starożytnej — *mens sana in corpore sano* — ale nie żądajmy za wiele... Dusza stała się dziś towarem niemodnym, no, poprostu, wyprzedażowym. Pocóż ją pielęgnować?).

Więc niech już będzie chociaż owo zdrowe ciało.

Nasze sportsmenki wykazały właśnie swe „wyczyny" w Bydgoszczy, podczas meczu Niemcy — Polska. Oto jak charakteryzuje to spotkanie recenzent sportowy „Expresu Porannego", pan W. T., który zdaje się zna się na rzeczy:

„Mecz kobiecy Niemcy — Polska zakończył się wynikiem 59:40 pkt. Gdyby zamiast reprezentacji polskiej startowała w Bydgoszczy przeciw Niemcom Walasiewiczówna i bufetowa ze stacji kolejowej Azory — wynik byłby identyczny. Także 59 : 40. Walasiewiczówna byłaby zawsze pierwsza, bufetowa — zawsze ostatnia. Tak, jak wszystkie (sic!!) bydgoskie partnerki Walasiewiczówny".

Ostro — ale słusznie.

Więc poco te publiczne „występki"?



Zasłużona sława

Talleyrand, przewrotny minister Napoleona, nie cieszył się nigdy sympatją opinji. Złośliwości, które o nim kursowały, były dotkliwe — tem dotkliwsze, że często najzupełniej zasłużone.

W roku 1815 mówiono w pewnym salonie politycznym w Paryżu o olbrzymim majątku, jaki zebrał Talleyrand.

— Nic w tem niema dziwnego — zauważył ktoś złośliwie: — przecież Talleyrand po kolei sprzedawał wszystkich, którzy go kupowali...

*

O tymże człowieku opowiadano po jego śmierci, że gdy już był bardzo chory, odwiedził go Ludwik Filip.

— Jak się pan czuje? — zapytał król chorego.

— O, bardzo źle... Cierpię, jak potępieniec — jęknął Talleyrand.

— *Już?* — złośliwie uśmiechnął się król.

Próżność

Flaubert powiedział kiedyś: „Przekonałem się, że próżność jest podstawą każdej rzeczy, i że nawet to co nazywamy sumieniem — jest właściwie tylko próżnością duchową".

Hm... Może dlatego tylu ludzi dzisiaj rezygnuje z sumienia? Nie chcą być próżni, poprostu.

Uparty nurek.

ZOFJA NORBLIN CHRZANOWSKA

JEDEN NIEZWYKŁY ŻYWOT*)

Zreferować w linjach ogólnych przebieg fantastycznego życia d'Annunzia — (co postarałam się zrobić w poprzednich o nim artykułach)—to jeszcze nie wszystko. Jest to dopiero jakby zanotowanie głównych tematów muzycznych w bardzo złożonej symfonji: rozwinięcie tych tematów, finezje harmonji, kontrapunktu i instrumentacji — oto byłoby dopiero uzupełnienie całości. Takiego zadania jednak podjąć się dzisiaj trudno. Przedewszystkiem dlatego, że 75 lat życia tego człowieka obfitowało w tyle i tak dziwnych zdarzeń, iż zdołałyby one wypełnić dziesięć innych egzystencji. Powtóre dlatego, że d'Annunzio był i pozostał właściwie do końca człowiekiem tajemniczym — indywidualnością pełną niewytłumaczonych sprzeczności.

Nie będę się nawet starała o logiczne konstruowanie jego sylwetki duchowej. Kontrasty, z jakich się składał ten człowiek, całkowicie usprawiedliwiają wymowne słowa Eleonory Duse: *„La follia non è più ricca di te“*. Co znaczy: *„Szaleństwo nie jest od ciebie bogatsze“*.

O tę rozmaitość jego natury, o niezrozumiałe w niej krańcowe sprzeczności — rozbijały się wszystkie dotychczas książki o d'Annunziu.

Może najwięcej wyjaśnień tej skomplikowanej indywidualności znajdziemy w niektórych jego pismach autobiograficznych, we fragmentach wspomnień i wrażeń, zawartych w książkach *„Le faville del maglio“*, w wymienionem już poprzednio *„Notturno“*, i w tej dziwnej książce, która ukazała się w roku 1935 i nosi taki tytuł: *„Cento e cento e cento e cento pagine del libro segreto di Gabriele d'Annunzio tentato di morire“*. (*„Setka i setka i setka stron księgi tajemnej Gabrjela d'Annunzio, spragnionego śmierci“*). (Pisane w r. 1922, przed jego usiłowaniem samobójstwem. Rzucił się był z balkonu „Vitoriale“ — ale go odratowano).



Znaczek pocztowy miasta Fiume z portretem d'Annunzia.

We fragmentach tych książek trafia się niejednokrotnie na błyskawice szczerości, które nagle oświetlają jakiś zakątek duszy tego człowieka, uważanego naogół za histrjona, za komedjanta, za spragnionego poklasku autoreklamistę. Okazuje się często, że właściwie kpił sobie najsolenniej z opinji, że nie zadawał sobie nawet trudu udawania, że wystarczało mu być sobą, aby zdumiewać gawiedź i aby wywoływać najdziwniejsze legendy, które o nim przez całe życie krążyły.

Jedno nie ulega wątpliwości: był naturą niezwykle bogato uposażoną od urodzenia. Chlubił się tem, że wrażliwość jego zmysłów — wszystkich zmysłów, a miał ich napewno trzy razy więcej niż normalny człowiek — że ta wrażliwość ma w sobie coś pierwotnego, zwierzęcego a zarazem wysublimowanego przez wyrafinowanie. Muzykę słyszał nie uchem, ale całem ciałem; powonienie miał tak subtelne, że na odległość kilkudziesięciu kroków odnajdywał w trawie ukryte w niej fiołki; smak rozwinięty aż do najbardziej wymyślnego smakoszostwa zastępował mu niejednokrotnie nawet rozkosze miłosne. Wrażliwość na piękno osiąga takie natężenie, że przy trumnie blizkiego przyjaciela - pilota, którego szczerze opłakuje, myśli tylko o tem, aby ułożyć kwiaty i sztandary



Podczas wojny d'Annunzio - sybaryta okazał się zdolny do wszelkich wyrzeczeń i jadał z kotła to samo co jego żołnierze.

*) *Patrz „Świat“ Nr 10 i 13 r. b.*

tak aby było najpiękniej i wścieka się, gdy mu je ktoś nazajutrz poruszył — (a nie zapomina zarazem wszystkiego najprzytomniej w świecie zanotować). Wrażliwość erotyczna zupełnie wyjątkowa. Nie



Motto ulubione d'Annunzia, którego stale używał na swym papierze listowym: „Posiadam to, co rozdałem“

może żyć, nie może tworzyć, nie może myśleć, jeżeli zmysły jego rozpaliły się do jakiejś kobiety. Miłości zresztą nie zna: przeczy jej istnieniu. Zna tylko użycie i rozkosz. Pisze:

„Niema kłamstwa obłudniejszego a bardziej rozpowszechnionego jak słowo „wierność“. Ma ono dźwięk fałszywych kajdan scenicznych. Mówią o wiernych kochankach: gatunek nieistniejący. Niema pary ludzkiej wiernej przez miłość. Ja jestem właśnie przez miłość niewierny, a raczej przez sztukę miłości, gdy kocham aż do śmierci“.

Pisze kiedyindziej w czasie jakiejś choroby: „Jaką zwierzęcą rozwiązłością, jaką perwersyjną rozkoszą, jaką nieczystą wyobraźnią karmiłem się w tych czasach“.

Więc zmysły — i tylko zmysły? Tylko to było jego bogactwem, jego motorem, jego siłą?

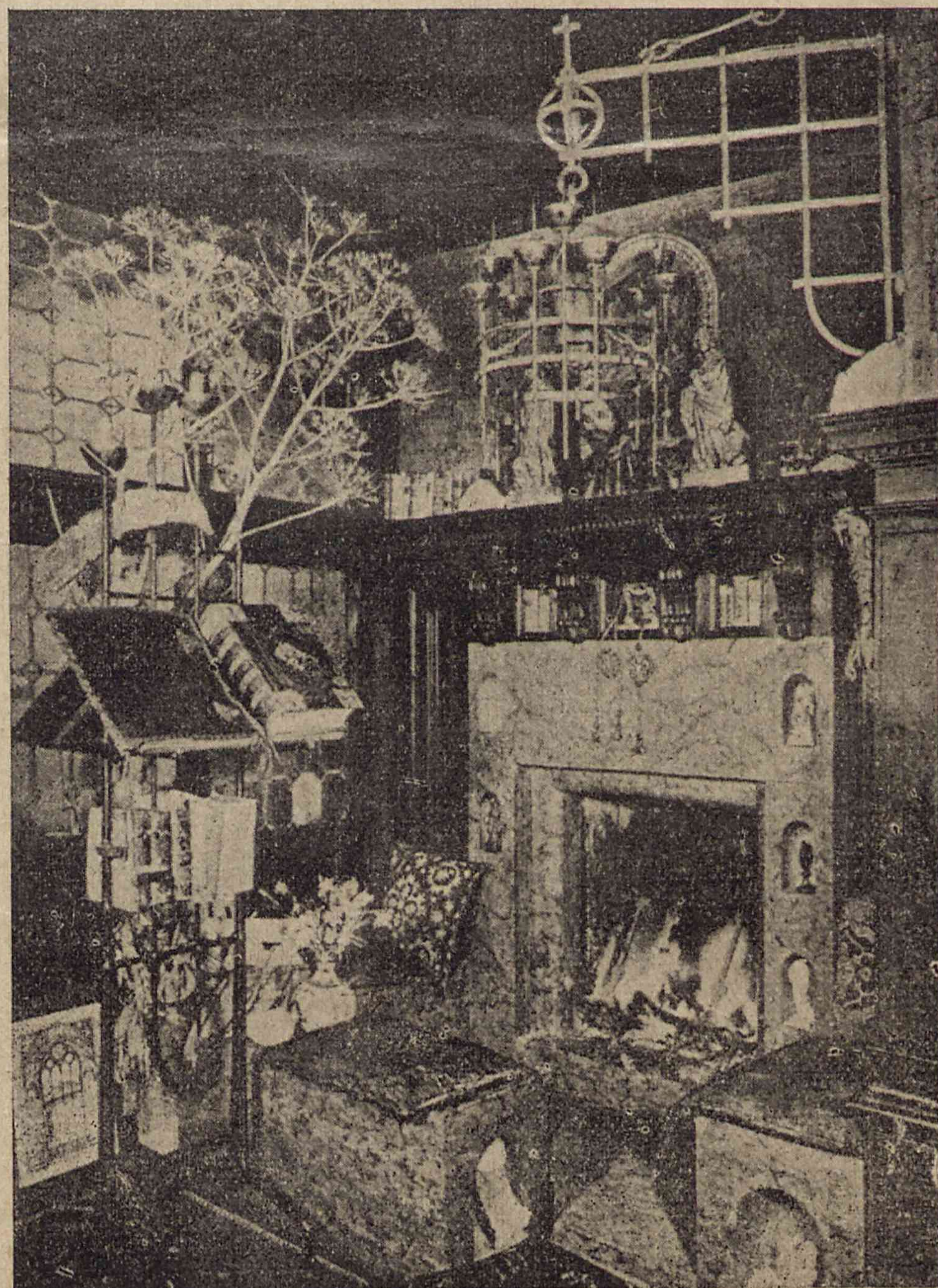
Nie. Miał także niewątpliwe ponadnormalne zdolności umysłowe. Miał np. niewiarygodną, fenomenalną pamięć. Skutkiem tego studjował łatwo, szybko, i był w wielu dziedzinach erudytą zdumiewającym. Po latach dwudziestu poznawał też natychmiast człowieka, z którym raz kiedyś przelotnie rozmawiał — pamiętał jego nazwisko, temat owej rozmowy, a nawet kolor krawata jaki ów człowiek miał wówczas na sobie. Zjednywało mu to ludzi w sposób nieprawdopodobny: każdy naiwnie uważał siebie za tego wybranego, którego d'Annunzio tak bardzo w swej myśli wyróżnia. On tymczasem kpił sobie właściwie z całego świata i nikogo w swem życiu naprawdę oprócz swej matki nie kochał — a popularność i fanatyczne oddanie sobie traktował jak rzecz naturalną, łatwą do zdobycia i pożyteczną. Rozdawał setki i tysiące autografów i dedykacji zawsze niesłychanie przyjacielskich, pełnych entuzjazmu, pochlebnych. Zawsze nieszczerych. Mówił ze śmiechem do swego otoczenia: „Mnie to nic nie kosztuje, a im sprawia przyjemność“...

Zarozumiały? O, napewno! Niebotycznie. I pod każdym względem. Uważał siebie za artystę *wielkiego* we wszystkich dziedzinach sztuki. Pisze tak: *„Niektóre z moich rysunków, nie obrażając skromności, równe są w precyzji i doskonałości rysunkom Hansa Holbeina“*. Uwielbiał swoje ciało: *Kształt i spojenia mojej gładkiej czaszki* — (był łysy od wczesnej młodości) — *należą do rzeczy najwyraziściej pięknych na świecie“*...

Żył jednak nietylko zmysłami i nietylko pięknem: żył równie intensywnie myślą, obcował z gorliwością bezprzykładną z wielkimi umysłami wszystkich czasów. Biblioteka jego, którą pozostawił w swym zamku nad jeziorem Garda, *liczyła 75 tysięcy tomów!*

Miał zresztą zupełnie specjalny sposób czytania; właściwie, jak pisze o nim jego długoletni sekretarz, Antongini — nie robił wrażenia że czyta: wąchał książkę. Przyniesione np. do zaopinjowania jakieś dzieło młodego pisarza potrafił, przejrzawszy w dziesięć minut, zgłębić tak dokładnie, że zjawiającemu się potem po ocenę autorowi zdawał relację ze swych wrażeń w *parogodzinnej przemowie*. Zdumiony sekretarz słuchał — i nie mógł tego zrozumieć. Przeczuwał w tem jakąś sztuczkę niemal djabelską.

Równą intuicją odznaczał się, gdy chodziło o unikanie niebezpieczeństwa nieprzyjemnych spotkań albo niemiłej korespondencji. Poczta jego zawierała codzień oprócz wielu listów miłosnych przypomnienia od lichwiarzy, dostawców etc. Zawsze wiedział, który list otworzyć, a który bez czytania wy-



Wszystkie pokoje w apartamentach d'Annunzia zawsze przeładowane były niesłychaną ilością „obżedarów“ wśród których trudno było się poruszyć.



Jeden z przedsionków zamku Vittoriale, w którym d'Annunzio spędził ostatnich 15 lat życia, gromadząc w nim ogromne skarby sztuki i liczne pamiątki wojenne.

rzucić do kosza. Kiedyś wśród kilkudziesięciu listów wybrał nie otwierając kilka, które okazały się nieomylnie listami od kobiet. Resztę z pogradą odrzucił. Te odrzucone otwierał sekretarz. Szły jedne za drugiemi przykre rachunki i gorzkie wymówki natury finansowej. Nagle — piękny, jasno - lila, w podłużnej kopercie pachnący list, adresowany arystokratycznem pismem kobiecem. Jak on mógł go nie zauważyć? — zastanowił się sekretarz. I podsunął pisarzowi wytworną kopertę. D'Annunzio wziął ją nieufnie do ręki, obrócił na wszystkie strony nie otwierając, powąchał — i obojętnie odłożył. Tak leżała przez tydzień. Sekretarz wreszcie nie wytrzymał i list otworzył: był to *rachunek modystki* za jakieś kapelusze, dostarczone przedostatniej kochance. (Oczywiście d'Annunzio nigdy z zasady żadnych kobiecych rachunków nie płacił: kochanki swoje uważał i tak za istoty szczególnie wyróżnione przez los, bo się zbliżyły do niego).

Pracował—(gdy już zaczął pracować) — w sposób nadludzki. Osiemnaście godzin na dobę przy biurku — to była normalna „porcja". Godziny pracy też miał zupełnie swoiste. Kiedy się nie przepracowywał, a pisał „tak sobie", powoli, — zaczynał pisać o 10-ej wieczorem, kończył o 6-ej rano. Przez całą noc w całym domu, od strychów do podziemi, wszystkie światła stale były zapalone. Podczas pracy miał zawsze na stoliku owoce. Nigdy nie palił, bardzo rzadko pijał napoje alkoholowe. Sypiał od 6-ej rano do 12-ej w południe. Po wstaniu spożywał lekkie śniadanie i godzinami oddawał się pielęgnacji swego ciała. Był fanatycznym wyznawcą wyrafinowanej czystości. Twierdził, że gdyby miał na to czas — wogóle nie wychodziłby z łazienki. Kąpał się parę razy dziennie, zmieniał bieliznę conajmniej dwa razy codzień. Swym kochankom ofiarowywał — lat temu czterdzieści! — ostre angielskie szczotki na długich kijach, do kąpieli: te szczotki, które stale przy swych kąpielach stosują dziś amerykanki. Był prekursorem w dziedzinie kosmetyki i hygjeny...

Całe popołudnie spędzał na pozornem wałęsaniu się po domu, rozmyślając, przestawiając niektóre „obżedary" jakich pełno było wszędzie. Ciasnota w jego mieszkaniach była stałą regułą. Ludzie wchodzący do jego rezydencji po raz pierwszy, nie wiedzieli wogóle, jak się tam mają obrócić: na stołach, półkach, półeczkach, pełno figurek, majolik, medali, rzeźb, wazonów, ksiąg, kwiatów, lamp, bożków buddyjskich, lichtarzy, krucyfiksów, kandelabrów, puharów i innych osobliwości. Upał tam panował 40-stopniowy. To była jego atmosfera codzienna, normalna. Kiedy zapowiedziana była jakaś oficjalna wizyta, upał rozmyślnie powiększano: w ten sposób spławiało się szybko nudne „piły", gdyż wysoko postawione figury po pięciu minutach już bliskie bywały apopleksji.

Nienawidził uroczystości oficjalnych, obchodów, bankietów. Nawet kiedy na pół roku naprzód obiecał gdzieś swój współudział — w przeddzień uroczystości kładł się do łóżka, oznajmiał domownikom: *„Ja umieram"* — i magicznie zmartwychwstawał dopiero po godzinach niebezpieczeństwa. Był przez całe życie samotnikiem, nienawidzącym ludzkiego towarzystwa: oprócz kobiet nikt mu nie był potrzebny, każdy mu zawadzał, irytował go, zabierał mu czas napróżno. Pierwszem i najważniejszem zadaniem jego sekretarza osobistego i jego licznej służby — (miewał dla siebie samego po 20 osób służby w domu) — było chronienie go od wizyt, od styczności ze światem zewnętrznym. Niecierpiał miasta, wszystkie swoje siedziby ulubione zawsze miał na wsi. Mimo to dbał aż do przesady o swój strój, sprawiając na raz nie mniej niż sto krawatów, kilkanaście ubrań, kilkadziesiąt par obuwia. Zapchane setkami ubrań szafy jego garderoby stanowić będą dla potomności ciekawe okazy muzealne.

Zadać sobie można pytanie trochę niedyskretne: co po tym człowieku naprawdę pozostanie?

Odpowiedź niełatwa: bo każda strona indywidualności d'Annunzia przedstawia inne walory.

Jako człowiek — był niewątpliwie przez znaczną część swego życia jednostką o wybujałym indywidualiźmie, pozostającą często w kolizji z paragrafami kodeksu prawnego, a prawie nieustannie z paragrafami kodeksu etycznego.

Jako żołnierz — odkupił kilkoma latami bezprzykładnego bohaterstwa wiele lat swego poprzedniego życia, które sam scharakteryzował jako *„repugnante"*.

Jako pisarz?

Tutaj nawet krytyka włoska doniedawna pełna była wahań. Jeden ze znakomitych krytyków, Silvio d'Amico, przypomina, że niedawno jeszcze pewien świetny pisarz włoski wyraził się o d'Annunziu tak: *„Se d'Annunzio avesse avuto qualche cosa da dire, si sarebbe messo in tasca Dante e Shakespeare"* *).

Znaczy to, że świetność jego narzędzia poetyckiego, jego formy, była najwyższej klasy. Zawartość myślowa jego sztuki jednak nie dorównywała formie. To było mniemanie we Włoszech doniedawna bardzo rozpowszechnione.

(Pewne zadzierzyste czasopismo literackie młodych drukowało stale na okładce przy tytule, jako motto sztandarowe te słowa: *„Nie przeczytaliśmy nigdy w życiu ani jednej kartki d'Annunzia"*. Motto troszkę lekkomyślne, nawiasem mówiąc — bo rozsądniej jest może znać to, co się odrzuca?).

Otóż anti - dannunzianizm był w sferach literackich włoskich zupełnie usankcjonowany i modny przez długi szereg lat. Myślano wogóle, że nikt już d'Annunzia nie czyta. Cóż się jednak okazało?

W roku 1930 jedno z czasopism literackich ogłosiło ciekawą ankietę: „Wymienić sto najbardziej wartościowych książek, które się ukazały w ciągu ostatnich lat dziesięciu".

Przyszedł „w cuglach", bijąc o wiele długości swych współzawodników — d'Annunzio, a mianowicie jego w ciemności pisane „Notturno". W kraju słońca i radości, zdrowego optymizmu i niezmąconej pogody ducha — pierwsze miejsce wśród tysięcy konkurentów otrzymuje książka tragiczna, pisana przez człowieka, którego literaci wogóle uważali już za wartość przebrzmiałą.

Więc jednak całkiem nie przebrzmiał. I są napewno wśród dzieł jego takie, które pozostaną. Napewno niektóre utwory poetyckie, zwłaszcza „Le Laudi". a z pośród dramatów mocny, ponury dramat z życia chłopów w Abruzzach, „La figlia di Jorio". (Podobno istnieje u nas w przekładzie Konopnickiej — możeby się teraz który z naszych teatrów zakrzątnął koło wystawienia tego *naprawdę nieprzeciętnego* dzieła?).

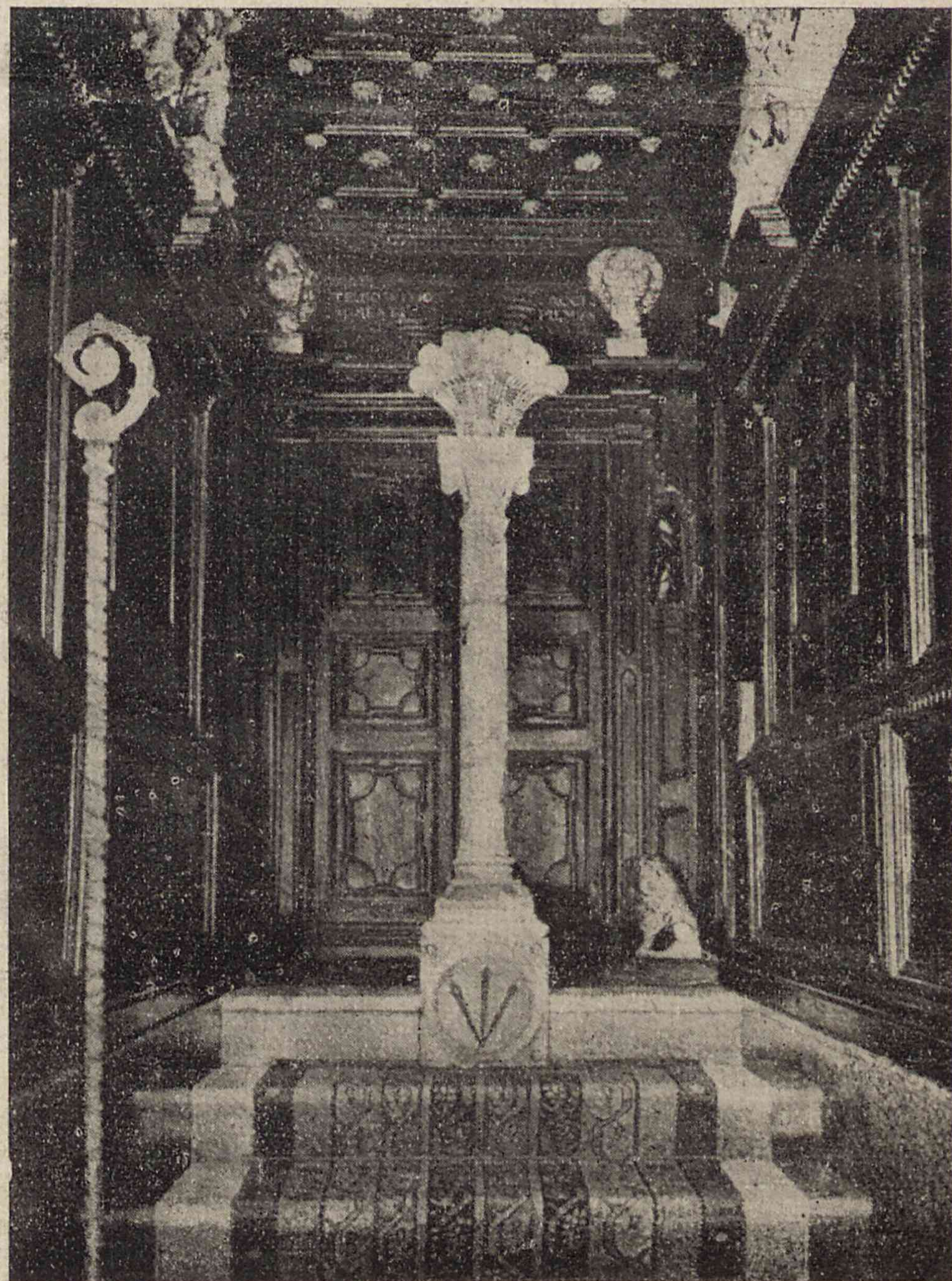
Z pośród dzieł jego pozostaną też napewno niektóre nowele pisane w młodości i fragmenty myśli i wspomnień zawarte w jego książkach ostatnich, które służyć będą jako klucz do tej indywidualności tak niezwykle skomplikowanej

W powieściach d'Annunzia — dziś już pozostało dla naszego pokolenia uroków niewiele. Nieznośne są te wieczne korowody erotyczne między „nim" a wykwintną, wysmukłoszyją arystokratyczną damą, problematy redukujące się jednak do tego, czy „już" czy jeszcze nie. To wszystko w ciągu ostatniego półwiecza ogromnie się uprościło. D'Annunzio pisał dla naszych babek i matek. I męczący jest dla człowieka nowoczesnego styl d'Annunzia, skomplikowany, nawet pięknie brzmiący, ale pozbawiony prostoty, której dziś wszyscy łakniemy.

Jednakże jak się przekonałam, i ten styl ma dotąd we Włoszech zwolenników: rozmawiałam przed paru laty z redaktorem naczelnym wielkiego dziennika włoskiego. Mówiło się szczerze, w cztery oczy — nie byłam obowiązana do towarzyskich komplementów. Zapytał, co sądzę o jego artykułach wstępnych. Z pełnem przeświadczeniem podkreśliłam ich wartości myślowe, ale wyraziłam duże zastrzeżenia co do formy: zbyt, jak dla mnie, zawiłej, gdzie całe piętra zdań podrzędnych wypływały jedne z drugich, zaciemniając wkońcu myśl autora.

Spojrzał na mnie trochę rozczarowany i powiedział: „Ale proszę pani — tak się pisze po włosku. Tak pisze, proszę pani — d'Annunzio"...

Więc jednak całkiem nie przebrzmiał.



Wejście do zamku Vittoriale. Na ścianach i na suficie — jak zwykle w siedzibach d'Annunzia— pełno rozmaitych sentencji łacińskich.

---

*) *„Gdyby d'Annunzio miał był wogóle coś do powiedzenia byłby zapędził w kozi róg Dantego i Szekspira"*.

JAN MATEJKO


Alchemik Sędziwój i Zygmunt III


Szkic do Kazania Skargi

Z WYSTAWY JUBILEUSZOWEJ

W. TOW. ZACHĘTY SZTUK PIĘKNYCH


Szkic do Wernyhory


Szkic do Unji Lubelskiej


Kazanie Skargi

URLOP HUBERTA GARDY

— Czekaj warjacie! — krzyknął.

Nie zważając na niego, włączyłem bieg i gwałtownie puściłem sprzęgło. Samochód nagłym zrywem szarpnął z miejsca.

Hubert odskoczył na bok i kiedy przelatywałem obok niego, potężnym skokiem dopadł stopnia. Jedną ręką trzymając się drzwiczek, drugą coś mi wsunął do kieszeni.

Gnałem już tymczasem akacjową aleją. Nieomal nie zwalniając biegu wziąłem zakręt i dziw doprawdy że Garda zdołał utrzymać się na stopniu przy tej szybkości.

— Masz kartkę w kieszeni! — krzyknął mi do ucha. — Oddaj ją pod wskazanym adresem! Załatw to zaraz jak odwieziesz Jankę do szpitala — bardzo ważne!

Jak przez sen słyszałem co do mnie mówi, zdobyłem się jednak na skinienie głową.

— Wracaj po południu — dawał mi dalsze instrukcje — będę o czwartej czekał na ciebie za groblą!

Znów skinąłem głową.

— Benzyny masz dość — sprawdzałeś?

— Tak! Idź wreszcie do czarta! — krzyknąłem, nie mogąc już dłużej panować nad sobą.

—Więc szczęśliwej drogi!

Jak potrafił przy takim tempie zeskoczyć z samochodu, tego do dziś nie wiem. W następnej chwili już go przy mnie nie było.

Miałem przed sobą fatalny odcinek drogi: — groblę z trzema mostami. Poprawiłem się mimowoli w siedzeniu i ująwszy mocno kierownicę, cały zamieniłem się we wzrok.

Ziemia uciekała przedemną zlewając się, jednostajnym, szarym pasem. To, co zdala jest jeszcze koleiną, wybojem, już w następnej chwili staje się uciekającą wtył, płynną, burą wstęgą.

Pierwszy most. Unoszę cośkolwiek nogę z akceleratora. Most jest już podemną, maszyna podskakuje do góry, chwieje się razem z tą drewnianą ruderą, zeskakuję zniej. Znów noga opada cośkolwiek, znów szybkość wzrasta — i znów most.

Podrzuca maszyną okropnie. Gdybym nie trzymał mocno kierownicy, dawno leżałbym już na błotnistej łące, kołami do góry. Biedactwem za mną musi trząś bardzo. Nie mam jednak na to rady — życie jej jest ważniejsze ponad wszystko inne.

Nie chcę myśleć, ani snuć przypuszczeń, gdyż oszalałbym chyba. W pewnym tylko momencie przechodzi refleksja przez głowę: — co by się stało gdyby tak pękł resor? Zaparło mi dech w piersiach na tą myśl, a maszyna jakgdyby wyczuwając moment słabości u mnie, rzuciła się gwałtownie w prawo, a zaraz potem — w lewo. Nie pozwoliłem jednak na te kaprysy. Dwa krótkie, mocne ruchy sterem i naciśnięty silniej akcelerator, zapobiegły narowom.

Grobla skończyła się i z przejmującym warkotem dźwignęliśmy się na pagórek. Pozostało do szosy parę kilometrów piaszczystej drogi, najuciążliwsza próba dla nerwów.

Starałem się przebyć ją jaknajprędzej. Motor aż wyje z wysiłku. Roztrącany kołami piasek, leci na strony jak woda, pruta dziobem chyżego jachtu.

Odwracam się na moment za siebie. Janka siedzi na tylnem siedzeniu, tak jak ją posadziłem, w samym rogu, otulona moim płaszczem. Dzielna dziewczyna już nie płacze, a kiedy na chwilę spojrzenia nasze spotykają się, kiwa główką, jakgdyby to ona miała dodawać mi otuchy!

I taką kobietę mam stracić?! Zaczynam sobie uświadamiać, że nie przeżyłbym jej śmierci. W myśli tej, która wówczas mię nawiedziła, nie było nic z emfazy, nic teatralnego. Poprostu zdałem sobie sprawę z faktu, że jej śmierć byłaby wyrokiem i dla mnie.

Piaszczysta droga kończy się i ujrzałem przed sobą jasną nitkę szosy.

W następnej chwili wpadłem na nią gwałtownym skrętem. Ciągnęła się przedemną gładka i prosta i zdawało się, niewiedzieć czemu, życzliwa i jakby chętna do oddania usługi.

Była to prawdopodobnie reakcja po szarpiącym nerwy, pokonywaniu trudnego odcinka drogi.

Czy wiecie co to jest jazda na ośmiocylindrowej, stukonnej maszynie z naciśniętym do samego końca akceleratorem? Jazda nie na torze wyścigowym, nie na terenie strzeżonym i wolnym od jakiegokolwiek ruchu?...

Nie miałem jednak nic do stracenia. Jeżeli spóźnię się, będzie to wyrok śmierci dla niej i dla mnie — więc raczej zginąć odrazu, bo najmniejsza przeszkoda, kamień, dzieciak, furmanka na środku szosy — wszystko to przy tej szybkości było gwałtowną, natychmiastową śmiercią. Tu już nie wolno było trzymać się kurczowo kierownicy. Lekkimi ruchami dłoni automatycznie oddawałem każde uderzenie kół na ster, modląc się w duchu o wolną trasę.

Maszyna była otwarta, to też szum wiatru w uszach głuszył jazgot silnika. Czasami tylko, gdy nachylałem się nad deską rozdzielczą by zbadać szybkość, dolatywał mię jego przeciągły, wibrujący skowyt.

Strzałka szybkościomierza tańczyła lekko na cyfrze 125 — 130.

Nie widziałem co się dzieje po bokach. Miałem wrażenie że pędzę w jakiejś kosmicznej pustce, nakazem wyższej siły trzymając się rozciągniętej przedemną, jasnej taśmy drogi.

Hen daleko, gdzie na horyzoncie szosa roztapiała się w niebieskawej ścianie nieba, ukazał się malutki, czarny punkcik. W tej samej chwili włączyłem gazową syrenę, która swym przeciągłym wyciem zagłuszyła nawet szum wiatru w uszach.

Nieustanny sygnał, dawany z tak dużej odległości, musiał zrobić swoje. Mały początkowo punkt, który rósł teraz w zadziwiająco szybkim tempie, przesunął się bardziej na lewo... W następnej chwili błyskawicznym przelotem minąłem jakieś auto. Zrobiło na mnie wrażenie stojącego na miejscu.

Minuty mijały jedna za drugą, w nieustannym pędzie. Przestałem czuć, myśleć, rozumować, zamie-

niłem się cały w jedną napiętą do ostatecznych granic strunę zwiniętą z nerwów.

Zdaleka zarysowały się domy jakiejś wsi. Modlitwa duszy o wolną drogę, wezbrała nową żarliwością, jednak nawet mi nie przyszło na myśl by zwolnić. Ta ewentualność poprostu przestała dla mnie istnieć. Stałem się potępieńcem skazanym na nieustanny szalony pęd, bez wytchnienia, bez tchu, tylko naprzód, naprzód.

Chaty rosły mi w oczach. Dopadając wsi znów nacisnąłem syrenę, polecając nasze dusze i spotkanych na drodze — Bogu.

Przeleciałem przez wieś szczęśliwie. Gdzieś tylko, kątem oka spostrzegłem wzniesione ku górze ręce, gdzieś wychynęła z pod błotnika krótka fontanna białego pierza, rozwiewając się natychmiast i niknąc odrazu.

Po trzydziestu sześciu minutach od chwili wyruszenia, ujrzałem wreszcie zdaleka, w sinej mgle kominy fabryk i kościelne wieże miasta. Ze względu na podmiejski ruch zwolniłem cośkolwiek tempa, nie odejmując jednak ręki od sygnału. Trudno było lawirować ciężką maszyną, gnałem jednak blisko setkę, ocierając się nieomal o wozy i ludzi.

* * *

Jadąc z powrotem oddałem się rozpaczliwym myślom.

Była za kwadrans czwarta, kiedy znalazłem się na szczycie piaszczystego pagórka. Z przydrożnej kępy trawy podniósł się Garda.

Skinąłem mu ręką, zatrzymując maszynę. Siadł przy mnie i resztę drogi odbyliśmy na rozmowie, podczas której udzielił mi całego szeregu instrukcji.

Wszyscy byli zebrani na ganku. Nie brakło nawet Chmury, który siedział podparty poduszkami na leżaku. Kiedy zatrzymałem przed nimi samochód, ruszyli tłumnie w naszą stronę. Posypały się pytania, przyczem największe bodaj zainteresowanie, okazywał Zbyszek. Chłopak złapał mię obydwiema rękami za ramię i przytrzymując z całej siły. rzucał raz poraz natarczywe pytania:

— No i co? I co?... Jak z Janką?!...

Zamiast odpowiedzi, wolno zaprzeczyłem głową. Towarzystwo raptownie zamilkło.

— Więc jak... jest? — zabrzmiało niepewne pytanie Chmury.

Rozwiałem ich ostatnie wątpliwości.

— Niestety — było już za późno.

— Nie żyje?! — wykrzyknął Zbyszek.

Skinąłem głową twierdzącym gestem.

Chłopak zaniósł się raptownym, urywanym płaczem. Reszta osób milczała, przerażona. Ciszę przerywaną łkaniem Zbyszka, zakłócił brzęk upadającej tacy.

Służący, który z obandażowaną głową podawał na werandę oranżadę, na wiadomość o śmierci dziewczyny, upuścił ją z rąk. Dowodziło to, jak bardzo Janka umiała przywiązywać do siebie ludzi, skoro nawet policyjny agent, który znał ją zaledwie kilka dni, tak bardzo przejął się tą wiadomością.

W tym momencie Chmura wstał z fotela i podszedł do mnie z wyciągniętą ręką.

— Sądzę — powiedział — że mam największe ze wszystkich prawo współczuć panu. To co zaszło między nami, jest wobec jej śmierci tak błahe, że nie waham się wyciągnąć do pana dłoni. Proszę przyjąć wyrazy mojej kondolencji.

Ujmując, zaskoczony postępkiem Zygmunta, jego rękę, spostrzegłem zdziwione spojrzenie Gardy jakiem nas obrzucił.

Gest Chmury spotkał się z niewypowiedzianą, ale widoczną aprobatą reszty towarzystwa.

Usiedliśmy i jakiś czas panowało milczenie.

Malczykowa opuściła głowę, Lukrecja oparła swoją na dłoni, przymykając oczy. Zbyszek pochlipywał jeszcze, wcisnąwszy się w kąt kamiennej ławki.

— Nie chcę już tutaj dłużej siedzieć — odezwał się cicho Chmura — nie zwracając się specjalnie do nikogo. Jutro wyjeżdżam na Śląsk. Jakże inaczej wyobrażałem sobie to lato — mój Boże!

— Zabierzemy się stąd wszyscy — mruknęła Malczykowa z przekąsem — niech sobie policja urządza tu swoje polowania. Może do przyszłego lata zdołają złapać, albo chociaż przepędzić tego bandytę.

— Boję się wysunąć nosa z pokoju jak tylko nastanie ciemność—odezwała się Lukrecja—a i w dzień zdaje mi się że zewsząd czyha niebezpieczeństwo.

— Nie wiem czy natychmiastowy wyjazd — odezwał się Garda, będzie możliwy, a to z pewnych formalnych względów, które trzeba będzie na miejscu załatwić, chociaż policja, do której z taką życzliwością odnosi się pani Malczykowa, przeciwko wyjazdowi państwa nie miała by żadnych sprzeciwów. Łatwiej i prędzej udało by się nam wówczas zlikwidować tego niebezpiecznego mordercę.

— Przypominasz sobie Hub — wtrąciłem — to tekturowe pudełko! Jak słusznie przewidywałeś że fakt ten będzie miał zasadnicze znaczenie! Któż mógł przypuścić że ten łotr przyniósł w nim żmiję!?

— Domyślić się tego było niepodobieństwem. Gdyby panna Janka spała u siebie, ugryzła by ją jeszcze w nocy.

— Jakież to formalności stoją na przeszkodzie do naszego wyjazdu? — wtrąciła Malczykowa, nie zwracając uwagi na wymianę naszych spostrzeżeń.

— Pewne formalności prawne, proszę pani. Pan Wydma jest zbyt zrozpaczonym, by mógł teraz o tem myśleć — ale wiem od niego, że panna Kolska umierając sporządziła testament, w którym przekazała cały swój majątek jemu, prócz legatów zastrzeżonych przez ojca dla pani Lukrecji i Zbyszka.

Słowa Huberta dolatywały mię wyraźnie, chociaż byłem daleki myślami od rozmowy. Kiedy skończył, obrzuciłem zebranych spojrzeniem.

Nastąpiła niema konsternacja. Nikt nie odezwał się ani słowem, widać było jednak w jakie osłupienie wprowadziła ich ta wiadomość.

— Jest mi to zupełnie obojętne — odezwał się pierwszy Chmura. Zatem, — zwrócił się do mnie ze śladem uśmiechu na skupionej twarzy — mam pana teraz uważać za swego szefa?

— Legalizacja testamentu i inne formalności zabiorą jeszcze sporo czasu — odezwał się za mnie Garda. — Ponieważ pan Wydma, jak wspomniałem, niema obecnie ani sił, ani chęci na zajmowanie się temi sprawami, prosił mnie abym załatwił to za niego. Wyjeżdżam więc jeszcze dziś wieczorem, by jutro powrócić. Sądzę, że wprzeciągu tej jednej nocy nic się nie stanie.

— Czy naszą obecność uważa pan za konieczną? — spytała Malczykowa. Formalności nie będą Chyba tego rodzaju byśmy musieli być tu na miejscu?

— Nie znam się na nich dokładnie — odpał Garda — ale przecież i tak dzisiaj państwo nie wyjadą, a jutro będę już wiedział, po zaciągnięciu informacji u prawników.

— Pewno, że dziś nie moglibyśmy wyjechać — zabrała głos Lukrecja — chociaż jestem tak przerażona, że zabrałabym się stąd, tak jak stoję, byle uciec z tego domu jaknajprędzej!

— Trochę więcej opanowania, — próbował uspokoić ją Hubert.

— Więcej opanowania! — obruszyła się staruszka, wstając. — Dobrze panu tak mówić! Ja natomiast jestem bardzo ciekawa, na kogo dzisiaj przyjdzie kolej?!...

X. PRÓBA NERWÓW.

Po kolacji Hubert wyjechał. Nie mogę powiedzieć abym go żegnał ze zbyt przyjemnym uczuciem. Świadomość że zostaję sam w tym przeklętym domu, bynajmniej nie poprawiła i tak już fatalnego samopoczucia w jakim się znajdowałem.

— Wracam jutro po południu — objaśnił nas siedząc już za kierownicą. — Muszę złożyć władzom meldunek o wczorajszym wypadku i jednocześnie załatwię sprawę pana Wydmy.

Auto poderwało się z miejsca i zostaliśmy sami.

Nie czułem się w nastroju do przebywania w towarzystwie, to też przeprosiwszy zebranych, zamierzałem udać się do siebie.

W drzwiach holu zastąpiła mi drogę Malczykowa.

— Panie Wydma — zagadnęła — unosząc ku mojej twarzy oczy — czy nie zechciałby pan na jakąś godzinę zajść do mnie? Wiem że nie ma pan teraz ochoty na rozmowę, ale może pan to jednak uczyni dla starej kobiety?

Aczkolwiek niezbyt chętnie, obiecałem jednak zadość uczynić jej prośbie. W pół godziny potem pukałem do jej drzwi.

Sypialnia Malczykowej, urządzona po staroświecku, tchnęła zaciszem. Łóżko z wysoko spiętrzoną pościelą stało za parawanem zaraz na lewo od wejścia Na wprost, pomiędzy dwoma oknami znajdowała się komoda, przykryta białą serwetą, z ustawionym na niej lustrem pomiędzy kolorowymi kartonami, drobiazgami z porcelany i tem podobnemi głupstwami.

Sztuczne kwiaty w wysokim, szklanym kielichu, dopełniały banalnej całości.

Z lewej strony stała pluszowa, czerwona kanapa z wysokimi poręczami, przed nią owalny stół, z palącą się teraz na nim naftową lampą, a obok dwa niezbyt wygodne fotele. Z przeciwległej strony znajdowała się szafa, a za nią, za drugim, mniejszym parawanikiem umywalka.

Staruszka siedziała w rogu kanapy z szydełkową robótką w ręku, a przed nią na stole leżały kłębki z nićmi. Była już w białym nocnym czepku, a na nosie miała okulary w drucianej oprawie.

Uniosła z nad nich wzrok, spoglądając w stronę drzwi.

— To pan? Proszę, niech pan siądzie — wskazała mi drobną, pomarszczoną ręką fotel obok siebie.

— Może pan palić — dodała — mnie dym nie szkodzi.

— Tymczasem nie będę — dziękuję.

— Nie mam do pana żadnego interesu, mój młody panie — oznajmiła mi na wstępie. Prosiłam pana o przyjście do mnie, gdyż czułam że sama nie wytrzymam przez te godziny jakie mnie dzielą od snu. Jestem taka roztrzęsiona, że trudno wyrazić.

— Nie dziwię się. Ja sam gonię resztkami nerwów.

— Tem bardziej po takiej stracie, biedaku. Rozumiem pana. — Spojrzała na mnie życzliwie, swemi jasno niebieskiemi oczami.

Ponieważ milczałem, ciągnęła dalej.

— Chciałam początkowo wziąść do siebie na noc Lukrecję, ale zaniechałam tego. Kobiece towarzystwo w takich razach nic nie warte, jeszcze miałabym z nią kłopot, bo to nerwowe, że aż strach! W razie czego dostałaby ataku i do reszty straciłaby głowę.

— Dzięki zatem za wybór — skłoniłem się lekko. Z chęcią spędzę z panią godzinkę na rozmowie.

— Nie wiem czy z chęcią — uśmiechnęła się wyrozumiale. — Pozwoliłam sobie w tym wypadku na egoizm, nie mając wyboru. Chmury od pewnego czasu nie mogę ścierpieć. Zrobił się jakiś opryskliwy i nieprzystępny, a kiedyś darzyłam go sympatją... — paplała staruszka, jakgdyby chcąc zagłuszyć słowami nurtujący ją strach, czy niepokój.

Nie bardzo wiedząc co na to wszystko odpowiedzieć, milczałem w dalszym ciągu.

— Długo pan jechał dzisiaj? — pani Aniela zmieniła temat rozmowy.

— Blisko godzinę.

(D. c. n.).

ŚWIAT KSIĄŻKI

M. Lulofs: GUMA... GUMA... Powieść z Sumatry. Książnica-Atlas. Lwów — Warszawa.

Powieść Madelon Lulofs zjawia się w porę. Książka to niesłychanie aktualna, w najgłębszem i najistotniejszem tego słowa znaczeniu. Z talentem i odwagą odsłania w niej autorka wszystkie blaski i cienie życia kolonjalnego. W tropikalnym klimacie Sumatry zużywają się ludzie, wypaczają co słabsze charaktery, rozluźniają pozornie najmocniejsze więzy rodzinne. Ciężka, zabijająca i monotonna praca, brak łączności z Europą i ukochaną a daleką ojczyzną, życie z dnia na dzień wśród ludności obcej i w gruncie rzeczy wrogiej, zależność od rzeczy tu najważniejszej: od cen gumy... to te straszliwe cienie życia w kolonjach, które aż nadto dobrze znają narody gospodarujące od dawna na terenach zamorskich. Dumne poczucie, iż w tej znojnej pracy tworzy się potężne dzieło cywiliaacji, że się jest pożytecznym żołnierzem wielkiej armji europejskiej, zmierzającej od wieków do pokojowego podboju kuli ziemskiej — to blaski tej egzotycznej egzystencji.

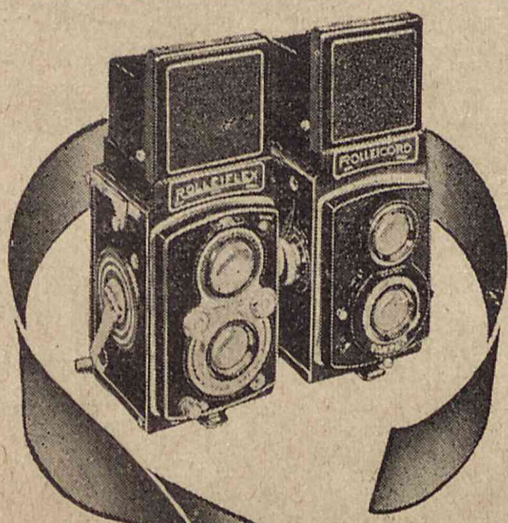


BRONISŁAW NADOLSKI: Kierunki rozwojowe dziejopisarstwa staropolskiego „Kultura Polska i Obca" pod redakcją K. Hartleba. Tom IV. Państw. Wyd. Książek Szkolnych. Lwów 1938. 8⁰ Str. 70+1 nlb. 30 rycin. Cena zł. 1.50.

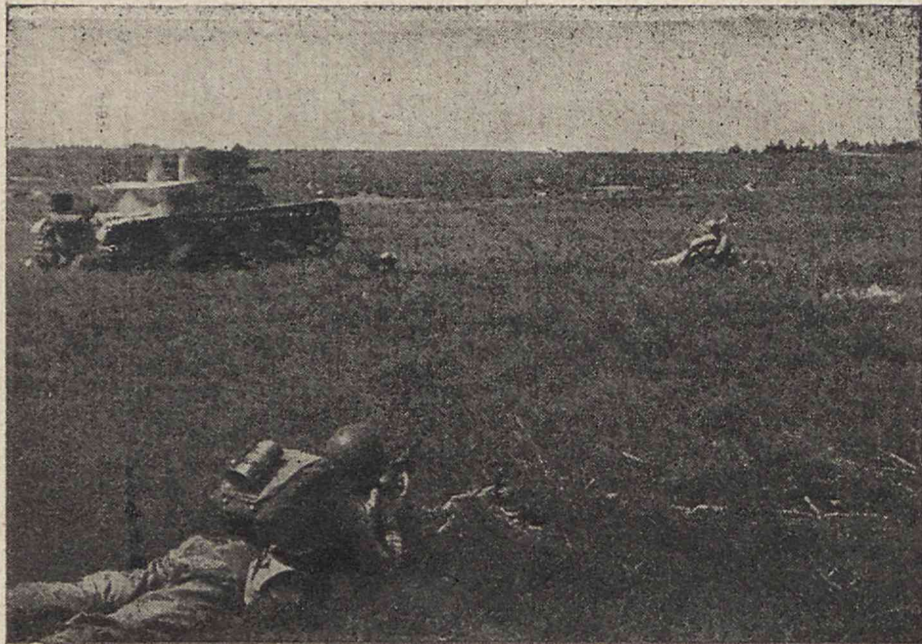
Książka Nadolskiego jest pierwszym zarysem syntetycznym rozwoju dziejopisarstwa staropolskiego od czasów najdawniejszych do rozbiorów Rzpltej. W sposób żywy i barwny opowiada nam autor o najdawniejszych zapiskach rocznikarskich, o pierwszych kronikarzach: Gallu - Anonimie, Kadłubku i Janku z Czarnkowa, ojcu historjografji polskiej — Długosza, historykach epoki renesansowej i saskiej, wreszcie o rozkwicie dziejopisarstwa staropolskiego za Stanisława Augusta.

JÓZEF SKOCZEK: Stosunki kulturalne Polski z Zachodem w XV wieku. „Kultura Polska i Obca" pod redakcją K. Hartleba. Tom III. Państw. Wyd. Książek Szkolnych. Lwów 1938. 8⁰ Str. 86 + 1 nlb. 10 rycin. Cena zł. 1.50.

Praca Dr. Skoczka składa się z 6 rozdziałów. Rozdział I omawia przełom kulturalny zachodzący w Polsce XV w. pod wpływem humanizmu i renesansu. Rozdział II charakteryzuje rolę cudzoziemców w tym przełomie, rozdział III — osobę i działalność Kallimacha. Rozdział IV poświęcony jest wielkim soborom w XV w. i ich znaczeniu dla kultury Polski, rozdział V— kulturze miast polskich. Ostatni wreszcie VI rozdział książki zawiera uwagi syntetyczne o stosunku Polski w. XV do kultury Zachodu i Południa. Książka napisana w sposób barwny i zajmujący ozdobiona jest szeregiem rzadkich portretów i rycin.



Każdy Polak dołoży swą cegiełkę, aby jak najprędzej stanął Dom Polaków z Zagranicy



Czołg i strzelcy w natarciu

CZ. ROKICKI

NATARCIE Z CZOŁGAMI

(Epizod z letnich manewrów)

Gładka równina, porosła wrzosem, kępami traw i krwawnikami, trwa w bezruchu i ciszy, jak zawsze w letnie przedpołudnie...

Oko bacznie rozpatruje rozległą przestrzeń, sięga aż ku dalekim leśnym obrębom. Ale nigdzie nie widać „czerwonych".

Jednak my wiemy doskonale, że tam — jak po naszej stronie „niebieskiej" — gęsto leżą łańcuchy strzelców — którzy warując w swych gniazdach, w wykopanych rowach, w naturalnych dołach i wpadlinach, za garbami pola — czyhają. Niebieskie czujki, wystawione na sam przód przed główną linją strzelecką, są najwyżej o sto metrów w odległości od czujek nieprzyjacielskich. Działa „czerwonych" częściowo ukryte są na skraju lasu, a częściowo zamaskowane na polanie, śród kęp młodej, zielonej leszczyny.

Poznikały już z obydwóch frontów nieprzerwane linje okopów. To było dobre podczas wielkiej wojny, ale teraz nowoczesna metoda walki wykreśliła je ze swego planu. Front składa się z gęstego łańcucha odosobnionych stanowisk. Są to krótkie odcinki rowów lub przyrodzone zapadliny terenu. W każdym — ukryci strzelcy, po kilku, lub kilkunastu, czuwają z karabinami i c. k. m. gotowymi do strzału.

Naraz — tra - ta - ta, tra - ta - ta — zagrały gęsto nasze maszynki. Prask, prask, prask — zatrzaskały karabiny i trzask ten rozniósł się po całym niebieskim froncie. Atak się zaczął. Odrazu w drugiej sekundzie ogień staje się gęstszy, gwałtowniejszy. Z każdą chwilą gwałtownie się wzmaga.

Czerwoni odpowiedzieli w tej samej chwili. Sieką gęsto z morderczych c. k. m-ów. Zaraz zawtórowały im ich działa. Biją bez ustanku. Padają na nasze stnowiska jedne po drugich granaty. Tu, tam, tam dalej. Gęsty, biało - czarnawy dym kłębami kędzierzawymi leniwie się unosi z ziemi. (To świece dymne zapalone po tej stronie tak pozorują wybuchy nieprzyjacielskich granatów). Rozrywają się raz po raz w górze szrapnele. Huk dział i karabinów wzmaga się z sekundy na sekundę. Rozpętał się istny huragan wojenny. Burza...

Tak wygląda (pozorowany) ogień zaporowy.

W gniazda strzeleckie wpada komenda:

— Tyraljera naprzód!

Krótki podryw, szybki przebieg i przypad do ziemi.

Ale pierwszy zryw i napad zuchwały naszych strzelców i c. k. m. słabnie. Gęsty, szalony ogień czerwonych wstrzymuje rozgorączkowaną bojem piechotę.

W tem nad wzburzonem, zadymionem pobojowiskiem wykwitła wysoko srebrzysta rakieta, jak mała gwiazda o mocnym blasku z cieniutkim dymnym ogonem. Ten piękny fajerwerek — to sygnał. Zaraz głucho zadudniło za nami. Z głębi naszych pozycji, z doliny rzecznej wychyliły się nagle ukryte dotąd czołgi. Cały sznur. Małe i duże, jednowieżowe i dwuwieżowe. Wjechały na polanę, jak stado szarych potworów — ciężkich, niezdarnych, lecz drapieżnych. Kiwając się z lekka, płyną po nierównym terenie. Choć na pozór tak ociężałe, jednak szybkość rozwijają dobrą.

Czerwoni skierowali teraz cały ogień dział przeciwpancernych w groźnych napastników. Lecz czołgi, jakby nietykalne, cwałują poprzez ulewę ognistą, zionąc w ten upał żarem, kurzem, benzyną.

Już się czołgi zrównały z linją naszej tyraljery, już ją przekroczyły. Sieką naprzemian raz z karabinu maszynowego, raz walą z działka. Bo każdy czołg dwie takie śmiercionośne lufy niesie wystawione na nieprzyjaciela.

Pęd czołgów podrywa naszą piechotę. Powstają strzelcy ze swych gniazd.

Nieprzyjaciel czołgów niema. Zachwiały się szeregi „czerwonych" na widok groźnych, żelaznych potworów.

Już tylko 50 metrów dzieli nasze przednie linje od pierwszych linji „czerwonych".

— Bagnet na broń!

Porwała się tyraljera. Rozciągnął się długi łańcuch szarych postaci.

— Hurra! Hurraa! —

Czerwoni strzelają gęsto, ale nic już nie wstrzyma zwycięskiego pędu niebieskich.

Pierwsza linja nieprzyjacielska zdobyta. Czerwoni idą do niewoli. (W rzeczywistym natarciu mieliby niemało zabitych i rannych). Z tyłu suną sanitarjusze z czerwonymi krzyżami na opaskach. Czołgi wdarły się wgłąb stanowisk nieprzyjacielskich.

Broni się jeszcze druga linja czerwonych. Nie daje za wygraną; z pozostałych gniazd gęsto plują z karabinów. Nieprzyjacielski ogień co chwila słabnie, to znów wybuchnie, i znów opada. Aż wreszcie:

— Hurra! Druga linja — nasza!

Nieprzyjaciel zamilkł zupełnie.

Natarcie poszło szybko, niemal błyskawicznie. Cały atak nie trwał dłużej jak 20 — 25 minut. Tak właśnie być powinno. Tak każe nowoczesna taktyka. Zmierza do błyskawicznych rozstrzygnięć. Za dużo ofiar — w ludziach i w amunicji, w sprzęcie — pociąga za sobą dzisiejsza wojna, aby można było po dawnemu przeciągać rozgrywki. Stąd ta nagłość uderzeń, gwałtowność starcia i szybkość rozstrzygnięć.

Trąbka — sygnał: Zbiórka bojowa czołgów. Kołując zjeżdżają bez pośpiechu na jedno miejsce. Tak zawsze się zbiera broń pancerna. Bo może się jeszcze nieprzyjaciel ukaże. Może w lesie chowa odwody. Czekają. Minutę — pięć — dziesięć. Nie, nic nie grozi — czerwoni są złamani i pokonani ostatecznie.

Czołgi wolno ruszają. Żołnierze zmęczeni po trudach dzisiejszego dnia odpoczywają dysząc ciężko. Tylko w oczach ich tlą się iskierki radości. Zrozumiałe. Przecież zwyciężyli...

Defilada po skończonym „boju"



DZIEJE TEATRU W POLSCE

Kommissya Rządowa Spraw Wewnętrznych i Policyi stosownie do artykułu 13-go postanowienia Xięcia Namiestnika Królewskiego z dnia 19 Listopada roku bieżącego powyższe ustawy Teatru co do wszystkich artykułów, niniejszem zatwierdza.

W Warszawie, dnia 10 grudnia 1822 r.

Minister Prezydujący
(podpisano) T. Mostowski

Sekretarz jeneralny
(podpisano) Aug. Karski.

* * *

Byłbym niekompletny, gdybym w tak ważnym jak obecny rozdziale nie poświęcił ostatniego słowa dwom wielkim badaczom przeszłości naszego Teatru to jest Łukaszowi Gołębiowskiemu i A. Weinertowi (proszę nie łączyć Łukasza Gołębiowskiego z Sewerynem równie cenionym badaczem starożytności), lecz zanim nastąpi to konkuzyjne zamknięcie omawianego przedmiotu i wypłynięcie na pełne morze działalności wielkiego Bogusławskiego, pozwolę sobie jeszcze na niektóre punkta zwrócić uwagę łaskawych moich czytelników. Będą to kwestye luźne, oderwane, lecz mimowoli narzucające się pod rozwagę.

I tak np. jeżeli za pierwsze literackie sceniczne dzieło nasze słusznie uważamy *„Odprawę posłów greckich“ odegraną 12 stycznia 1578 r.* w Ujazdowskim Teatrze, więc w takim razie *Jan Kochanowski wyprzedził o 10 lat Cervantesa,* więcej jak 30 lat Lopeza i Szekspira, a więcej jak pół wieku Calderona i Corneilla, czyli, że był pierwszym pracownikiem na tym polu, a że gleba nieurodzajną się okazała, to wina nie nasza, ale nieszczęśliwych okoliczności, niesprzyjających rozwojowi sztuk: — autorzy by się znaleźli gdyby mieli dla kogo pisać, ale nie było gruntu, na którymby można wznosić wspaniałą budowę piękna rodzimego. Jak trudne, rzadkie, niemal epokowe było w owe czasy wystawienie każdego wielkiego dzieła, widzimy bodaj z tego szczegółu, iż gdy w *1638 r.* wystawiono na Zamku Warszawskim Dramę liryczną Puccitellego *„Porwanie Heleny“* to sztuka ta była już powtórzeniem, bo dwa lata przedtem graną była *na Zamku Wileńskim przed Władysławem IV,* który w ten sposób czcił gościa swego, posła hiszpańskiego.

Wertując dawne akta, dokumenty, rachunki etc. tyczące się Teatrów Naszych powziąłem podejrzenie iż *za Sasów istniały dwa teatry* t. j. *jeden domowy w Pałacu Saskim,* który August II nabył od Morsztyna i przeznaczył na swoją rezydencję 7-go maja 1724 r., gdzie była wielka sala, przeznaczona wyłącznie na teatr i popisy orkiestralne lub wokalne, — jak to miało miejsce w wyżej wspomnianym roku i dniu na inaugurację tej siedziby królewskiej, w czasie której sama śmietanka artystów drezdeńskich przyjmowała udział i oprócz tego teatru istniał jak wiadomo *drugi teatr,* dworskim zwany, na ulicy Królewskiej obok Ujeżdżalni. Alę to nie wszystko jeszcze, bo oto co jest dziwniejsze, iż *Teatr domowy w Saskim Pałacu przetrwał prawie aż do* naszych czasów, posiadam bowiem w mem ręku dowody, iż funkcjonował jeszcze w r. 1829, *a nawet 1830.* Rozumie się, iż charakter tego teatru nie uległ żadnej zmianie i pozostał aż do końca swego istnienia tylko domowym. Ale że na tym teatrze oprócz koncertów, oper i różnych popisów tak wokalnych jak instrumentalnych, musiały być przedstawiane nietylko balety, komedye i dramata w cudzoziemskich językach, ale nawet nasze dramata i komedye przez naszych artystów wykonywane, mamy tego niezbity dowód w anonsach pism ówczesnych, odwołujących widowisko w Teatrze Narodowym z powodu dworskiego spektaklu w Teatrze dworskim w Saskim Pałacu; zresztą do tego przedmiotu wrócę się opisując ostatnie lata egzystencji starego teatru.

Już Łukasz Gołębiowski wspomina z jaką rozkoszą publiczność zachwyty swe manifestowała na spektaklach w *Zamku Królewskim,* z jaką radością rozsiadała się w oknach (w lożach) tej ogromnej sali, całej w kagańcach i świetle a wypełnioną po brzegi. Panowie nasi zawsze lubili i protegowali teatr, wprawdzie cudzoziemski, ale cóż mieli robić kiedy swego nie mieli. To zamiłowanie w widowiskach datuje się jeszcze od teatru Władysława IV w *Ujazdowie,* gdzie stale funkcjonował teatr i grywano na nim małe sztuki i włoskie a nawet choć nader rzadko i urywki polskie nań dostrzec się dają. Źródło z tych czasów są tak wyschnięte, zwłaszcza z powodu zupełnego braku prasy i jeszcze ważniejszego powodu, iż to były zabawy familijne niejako, i zależało panom na tem, aby ich czas poświęcony zabawom był ukryty przed wzrokiem profanów; iż tylko rachunki rzemieślników lub dostawców ówczesnych rzucają niejakie światło na ten przedmiot. Ale że panowie się bawili w teatr, to fakt niezbity: każdy prawie pałac miał swój teatr. Że w tych teatrach i polskie sztuki grywano, znów mamy dowód w tem iż w *Pałacu Błękitnym* (stawianym przez Augusta II dla swojej córki hr. Orzelskiej z panny Duval spłodzonej, który to Pałac przeszedł potem na własność Ossolińskich, Mniszków, wreszcie Zamoyskich), tylko wyłącznie sztuki francuskie grywano — więc gdy tu tylko Francja panowała, zatem idzie, iż inne wrota były i dla Polski gościnne, choćby przez samą grzeczność dla Warszawy, gdzie miały swoje locum.

Za rzeczywiście *pierwszy publiczny teatr* nader słusznie, gdyż, na pewnych podstawach zawiązany, uważać należy *Pałac Teperowski* (bankiera Warszawskiego). Przedtem pałac ten na Miodowej ulicy przepychem i wielką pompą błyszczący, był własnością Czatoryskich, później Radziwiłła, następnie hr. Paca. Był to największy i najpiękniejszy z dotychczasowych naszych teatrów. Ciśniono się do niego tłumnie zwłaszcza iż w tej okolicy rozegrała się sławna scena porwania Stanisława Augusta stąd wyjeżdżającego. Nietylko mieszczanie, ale i arystokracja

spieszyła na widowiska tu przedstawiane. Zresztą, przedsiębiorca Teper nie dla kształtu miał głowę na karku, jak to później zobaczymy, gdy idąc za wskazówkami Wejnerta wgłębiej zaczniemy sondować ten przedmiot i jego historję, od samego zaczątku na niezbitych dokumentach opartą. Była to chwila, iż w tym teatrze liczono 51 aktorów.

Sympatję z Miodowej przeniosła równie arystokracja i cała publiczność do teatru na Krakowskie Przedmieście, jak i na Nowy Świat do Pałacu Sułkowskich (o czem niżej), a zwłaszcza do pierwszego z nich w świetnym pałacu niegdyś Konietcpolskich, a jak w czasach, które opisuję Radziwiłłów, następnie *Namiestnikowskim*, sławnym pobytem Najjaśniejszego Cesarza Wszech Rossji Piotra W. w r. 1707.

Ulubionym od samego założenia był dla Warszawian Teatr na *Wyspie w Łazienkach.* Już w tym amfiteatrze za Stanisława Augusta, jego założyciela, grywano świetne balety jak „*Kleopatra*“, „*Kapitan Sanders*“ etc. Później, bo 1827 r. przedstawiano tu z wielkiem powodzeniem opery przeplatane tańcami. Szczególnie szalony entuzjazm wywoływało porwanie Aspazji z opery „*Axur król Ormus*“ kiedy statki, napełnione muzyką azjacką i dziewicami, przepływały przed oczyma widzów, a na okręcie, którego maszty i pokład oświecały latarnie różnych kolorów, spoczywała zemdlona Aspazja, otoczona dworem. Ta flota i grupy na teatrze, ci widzowie i snujące się po nadbrzeżach i wszystkich ulicach do teatru wiodących, tłumy; odbicie się rozlicznych tych świateł i gromad w wodzie, czyniło widok nieporównany, którego tem milej używało się po dniu skwarnym, przy umiarkowanem cieple nocy lipcowej. Most na drutach z drugiego brzegu na scenę rzucony, więcej jeszcze omanieniu pomagał, kiedy po nim przechodziły wojska i inne świetne orszaki.

Dziwna rzecz, iż stały teatr zwany *Narodowym* przy dziedzińcu pałacu Krasińskich na Długiej ulicy czyli t. zw. później teatr przy placu Kommissyi, miał najlepszych aktorów, najlepsze dzieła wystawiał, a stosunkowo miał najmniej szczęścia, jak to później także na nader cennych dokumentach poznamy. Przecież tutaj ogół zapoznał się z Rasynem, z Kornelem i innymi mistrzami tragedji, które arystokracja jeszcze z teatru za Zygmunta Augusta w Ujazdowie znała z oryginałów; — a przecież tu grywano nie żadne djalogi po konwiktach niegdyś przedstawione, ale rzeczywiste sztuki; przecież tu śpiewano opery w swoim języku niesłyszane od 1766 czyli od *Ujeżdżalni Sasów* i to w obcych narzeczach; przecież ten teatr istniał pod protektoratem Stanisława Augusta, wielkiego mecenasa sztuk, który od samego początku swego panowania nosił się z myślą założenia szkoły teatralnej! A jednak teatr ten przechodził bardzo forsowne, niemal tragiczne koleje, które poznamy przy dziejach niezmordowanego szefa i mistrza Bogusławskiego. A to był dobry, bardzo dobry teatr, jeżeli nawet nie świetny. Przecież gdy lat 2 mieszkał u nas Ludwik XVII jako Delfin pod imieniem hr. de Lille (zimą na Krakowskiem Przedmieściu w domu Mniszka, a latem w Łazienkach) wraz z małżonką swą księżną d'Angoulême i żyli bardzo popularnie, codzień w południe spacerowali sobie po Saskim Ogrodzie i prawie codzień bywali w teatrze. Księżna była prawdziwą entuzjastką dla naszego teatru; na jej wyłączne żądanie bardzo często grano operę „*Przerwana ofiara*“ ulubioną przez nią.

(D. c. n.).

Ulgowe kupony „Świata“

do Teatrów Niezależnych

Teatr Malickiej
pod dyr. Z. Sawana
Karowa 18. Tel. 5-29-99
KUPON „ŚWIATA“
ważny od 26. VIII do 1. IX
upoważniający do nabycia 2-ch biletów ulgowych
z 40% zniżką
ważny codziennie o 8-ej (również w soboty i święta) a w niedzielę nadto o 4-ej ppł. w kasie teatru cały dzień bez przerwy od 11-ej rano do 8-ej w.

Teatr „8.15“ Śniadeckich 5
Tel. 7-00-26
KUPON „ŚWIATA“
ważny od 26. VIII do 1. IX
upoważniający do nabycia 2-ch biletów ulgowych
z 40% zniżką
(prócz sobót i świąt) w kasie teatru od 11 — 2 i od 5-ej ppł. do 8-ej w. na wszystkie miejsca

---

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Nowy Świat 26. Telefon 5-04-00. Konto P. K. O. Nr. 3755
Lista rozrachunkowa urzędu pocztowego Nr. 39.
Administracja otwarta codziennie z wyjątkiem świąt, niedziel od godziny 11 do 3 pp.
Redakcja we czwartki, piątki i soboty od godziny 10 — 13 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp. tylko po uprzedniem porozumieniu się z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. **Rękopisów Redakcja nie zwraca.**
WARUNKI PRENUMERATY: Odb. na miejscu miesięcznie zł. 5.—. Kw. zł. 13.50 gr., z odnosz. do domu mies. zł. 5.50 gr. kw. zł. 15.—. Zamiejscowa mies. zł. 6.—, kw. zł. 16.20 gr. Zagraniczna mies. zł. 8.—, kw. zł. 21.60 gr.
Każdy prenumerator otrzymuje co miesiąc cenne premium książkowe wartości księgarskiej 5 do 6 zł.

ŚWIAT FILMU

ZŁOTA BAJKA NA SREBRNYM EKRANIE.

Roześmiany „od ucha do ucha" pyszczek Mickey Mouse zajaśniał na ekranie. Wiemy wszyscy dobrze, że jest to zapowiedź filmu rysunkowego, albo „kreskówki". Jak kto woli.

Z miejsca wpadamy w wir przebajecznych przygód. Bo film rysunkowy ma to do siebie, że wprowadza widza odrazu „in medias res" bez żadnych przydługich wstępów lub prologów.



Akcja toczy się w szalonem tempie. Tyle, tyle, takich filmów widzieliśmy w swojem życiu, ale jednak cieszymy się jak dzieci, gdy roześmiana myszka ukaże się naszym oczom.

Rozgorączkowani śledzimy każdy ruch małych aktorów, głośno i z dużem przejęciem reagując na ich bohaterskie wyczyny.

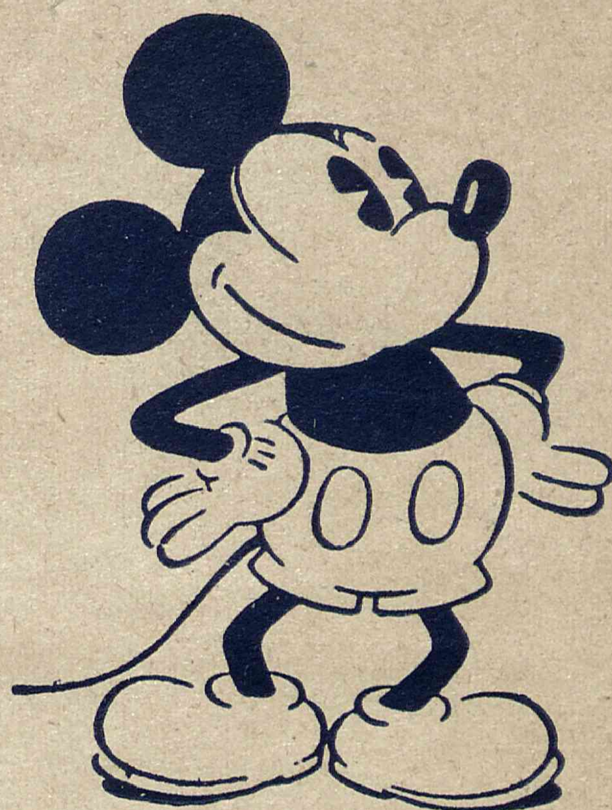
...Oto Miskey w białym kitlu lekarskim, preparuje w tajemniczy sposób cudowny płyn, mający dodawać siły każdej istocie przy bliższym zetknięciu się z nim. I po chwili przekonywujemy się naocznie o nadzwyczajnych własnościach tej mikstury.

Mała biedna muszka złowiona w straszliwą sieć pajęczą, pod strumieniami płynu, rozrasta się, pęcznieje, ciałem jej zaczynają wstrząsać jakieś mocodajne, elektryczne dreszcze. Aż w kilka sekund z małej, przestraszonej kruszynki, robi się mocarz świata, dla którego taki pająk to „mucha".

Słychać warkot skrzydeł, jakieś trzaski jakby wyładowanie się elektryczności, ...nagle potężny huk i oto zerwane zostały więzy sieci pajęczej...

...A oto zawadjacka kaczka. W czapce na bakier, z rękami w kieszeni idzie oglądać muzeum osobliwości.

— Proszę zdjąć czapkę! — upomina groźny „cerber" z żelaza. Ale naszej kaczce ani to w głowie. Dopiero ręczna interwencja robota pomogła. Lecz już w tej sekundzie zjawia się nowe nakrycie głowy stworzone z niczego przez dowcipnego ptaka. I tak kilkanaście razy. „Cerber" wiecznie zabierał a kaczka wyczarowała coraz to nowe czapki. I to jakie... Był i napoleoński trójkąt, i marynarskie kepi, i czepeczek dla niemowlęcia i wiele innych.



A ile gwaru i wrzasku było w owym muzeum. Wspaniałe, aczkolwiek trochę niesamowite eksponaty wyczyniła różne „cuda" z naszą biedną ciekawską kaczką. No ale wszystko dobrze się skończyło i wrzaskliwy bohater z wyczyszczonym na „glanc" kuperkiem opuścił muzeum...

...Albo — Koncert żabi. Sławny chór żabich śpiewaków. Ta zwarjowana noc na liściach nenufarów, przy dźwiękach skrzypiec koników polnych. Są i girlsy, i z wprawą wytupywana „czeczota" i harmonje... a zresztą czego tam niema?!...

Tempo rośnie. Coraz prędzej, coraz prędzej. Migają roztańczone nogi, wybałuszone oczy, szeroko rozwarte w uśmiechu usta, niespokojne ręce... A potem znowu ręce, nogi, twarze. Aż tempo doszło do zenitu. Zakotłowało się na stawie. Z rozgorączkowanych postaci buchnął ogień... I raptem cisza.

Publiczność ociera spocone czoła. Zawrotne tempo uderzyło wszystkim do głowy. *B. K.*

ŚWIAT FILMU

Nowinki filmowe

Jedna z wytwórni stołecznych ukończyła zdjęcia do komedji filmowej p. t. „Paweł i Gaweł“ opartej na treści popularnej bajki Aleksandra hr. Fredry. Komedja ta zapowiada się bardzo ciekawie, ze względu na pomysłowy, pełen świeżych efektów humorystycznych, scenarjusz, doskonałą obsadę aktorską z Adolfem Dymszą, Eugenjuszem Bodo, Heleną Grossówną i Józefem Orwidem na czele, oraz wzorową reżyserję Mieczysława Krawicza, twórcy „Roberta i Bertranda“.

*

Rewelacją Londynu jest film „Test Pilot“. Jest to opowieść o życiu lotników amerykańskich, ich przyjaźni i niepospolitej brawurze.

Główne role odtwarzają: Clark Gable, Myrna Loy i Spencer Tracy. A że realizował Victor Fleming, więc nic dziwnego, że Londyn, flegmatyczne i ponure miasto mgieł szaleje za tem arcydziełem filmowem.

Charakterystyczne są głosy prasy angielskiej, która twierdzi, że „takiego filmu jeszcze nie było w Londynie“.

Na świetny pomysł wpadł mały amerykański murzynek. Oto zamiast czyścić buty jak to robi większość jego czarnych braci, on lakieruje paznogcie pięknym paniom na plaży. I z pewnością lepiej mu się powodzi.



Do swej roli w „Test Pilot“ musiał Clark Gable przejść całkowity kurs pilotażu, co nie odbyło się bez momentów na wpół komicznych, na wpół niebezpiecznych. Wszystkie tarapaty nie pozostawiły jednak na Gable'u żadnego śladu. Jak oświadczył niedawno, film „Test Pilot“ stanowi dlań wielki plus: nauczył się latać i ma zamiar z tego korzystać.

*

W Paryżu ukończone zostały przed tygodniem zdjęcia do filmu p. t. „Katia — Błękitny demon cara Aleksandra II“, w którym rolę główną gra Danielle Darieux. Jak wiadomo Danielle Darieux mimo sukcesów w Hollywood wróciła niedawno do Francji, aby zagrać w tym specjalnie dla niej pomyślanym filmie, poczym wyjedzie ponownie do Ameryki. Według opinji prasy francuskiej „Katia“ ma być reprezentacyjnem dziełem kinematografji francuskiej zarówno ze względu na ciekawy temat, oparty na prawdziwych wydarzeniach historycznych jak i rozmach produkcji.

Film ten ukaże się również na ekranach polskich.

Redaktor L. Chrzanowski Wydawca „ŚWIAT“ Spółka Wydawnicza z o. o. Druk. W. Łazarski. Dzierż. Spółdz. „SPÓJNIA“, Żelazna 58a

P